

Czy kino zmarnowało Lema? Rozmowa z Łukaszem Jasiną

Główne dzieła Lema nie nadają się do adaptacji innej niż zmieniającej ich wymowę, niż wydobywającej pewne wątki kosztem innych. W kontekście klasycznego, narracyjnego kina trudno byłoby wyobrazić sobie wierną adaptację którejś z wielkich powieści. Jest to wielka literatura, ale trzeba ją silnie zmienić, żeby zaistniała na ekranie – mówi Łukasz Jasina w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Lem. XX-wieczne wyświechtanie przyszłości”.

Mikołaj Rajkowski: Stanisław Lem o ekranizacjach swoich utworów wypowiadał się w sposób zdecydowanie negatywny, z nielicznymi wyjątkami. To oczywiście przywilej autora, ale czy jako widzowie i czytelnicy możemy się zgodzić z takim surowym osądem? Czy kino faktycznie zmarnowało potencjał prozy Lema?

Łukasz Jasina (filmoznawca): I tak, i nie. Zmarnowało go w sensie obiektywnym, ale Lem w swoich ocenach zdecydowanie przesadzał. Powiedział pan o nielicznych wyjątkach – ja powiedziałbym, że był tylko jeden, mianowicie *Przekładaniec*, czyli film telewizyjny wyreżyserowany przez samego Andrzeja Wajdę. Ale do Lemowskiej prozy zabierali się przecież twórcy nie gorsi od Wajdy, tacy jak Andriej Tarkowski czy Steven Soderbergh. Lem, co trzeba przyznać, potrafił być często po prostu okrutny, zwłaszcza wobec *Szpitalu przemienienia* Edwarda Żebrowskiego, czyli jedynej adaptacji Lemowskiej prozy niefantastycznej. Co nie znaczy jednak, że nie uświadamiał sobie, przy całej swojej niechęci do tych adaptacji, że film to zupełnie inny element sztuki niż sztuka literacka. Dystansował się od tych adaptacji, owszem, twierdził, że mu się nie podobają, ale nie odmawiał wartości dziełu jako takiemu. Umiał rozdzielić swoją władzę jako autora materiału adaptowanego od władzy widza. W gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko temu, żeby Żebrowski, Soderbergh czy Tarkowski te filmy jednak zrealizowali. Delikatnie mówiąc, niektórzy autorzy byli

znacznie trudniejsi we współpracy. Znajdował się gdzieś pośrodku, pomiędzy pisarzami, którzy pozwalają ze swoimi książkami robić wszystko, a tymi, którzy starają się za wszelką cenę narzucić swoją wolę. On ograniczał się do wyrażania prywatnych opinii, nawet jeśli nierzadko nadmiernie surowych.

Jakość tych adaptacji jest niewątpliwie różna. Zastanawiająca jest jednak również ilość. Powiedziałbym, że jak na bardzo popularnego autora z ogromnym dorobkiem, jakim był Stanisław Lem, jest ich bardzo mało. Na przykład Hollywood po jego prozę sięgnął dopiero w 2002 roku. Czy rzeczywiście nie było zainteresowania?

Powiedziałbym raczej, że zabrakło wiedzy. Dla nas, jako Polaków, to bardzo smutna konstatacja. Lem był i dalej jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych polskich pisarzy na Zachodzie, ale do Hollywood rzeczywiście długo nie mógł trafić. W latach 70. miał ogromne problemy z mocniejszym zaistnieniem w Stanach Zjednoczonych. Niektórzy pisarze próbowali go jakoś do tych Stanów ściągnąć, niektórzy zaś, jak Philip K. Dick, mieli z kolei patologiczne problemy z Lemem, wygłaszali bardzo dziwaczne sądy. Twórczość Lema nie pasowała zbyt do tego sposobu, w jaki wtedy tę tematykę przenoszono na ekrany w latach 70., czy 60. Umówmy się, kręcono wtedy w zdecydowanej większości dość łopatologiczne filmy, wcale nie lepsze niż te, które powstają wówczas w bloku wschodnim, jak *Milcząca gwiazda* z 1959 roku. Lem był zdecydowanie bardziej popularny w bloku wschodnim i tam jego pierwsze adaptacje powstawały. Lem swój czas w pewnym sensie stracił, bo kiedy na początku lat 80. zainteresowanie nim zaczęło rosnąć, pojawili się zupełnie inni reżyserzy, oni przynieśli inne filmy. *Łowca androidów*, który pojawił się na ekranach w 1982 roku, właściwie ustawił całą dekadę filmową, dla Lema nie było w niej miejsca. Najpierw był trochę nieznan, potem był trochę już *passé*.

W Polsce na przeszkodzie stał przede wszystkim brak środków?

Tak. W Polsce, co zrozumiałe, zainteresowanie Lemem było dużo większe. Brakowało jednak środków na dobrą, efektowną realizację tych filmów, jeśli mówimy oczywiście o książkach, które możemy zaliczyć do

science fiction. Nic dziwnego, że powstał zamiast tego *Szpital przemienienia*, bo był to film nie wymagający wysokobudżetowych efektów specjalnych. Adaptacja jednej z przygód pilota Pirxa zrealizowana przez Marka Piestraka miała niski budżet, i to niestety widać. W świadomości czytelników Lem był tak silnie kojarzony z podróżami kosmicznymi i całym sztafażem SF, że adaptacje nie mogły tego elementu przesuwąć na dalszy plan, koncentrując się – na przykład – na warstwie filozoficznej. Kosmos musiał być pokazany, a to wymaga jednak odpowiedniego budżetu.

Zdecydowanie najpopularniejszą książką Lema pozostaje *Solaris*, które doczekało się dwóch uznanych ekranizacji.

Zacznijmy może chronologicznie od filmu Tarkowskiego.

Stanisław Lem zarzucał mu przede wszystkim zmianę wymowy w stosunku do książki i niewykorzystanie potencjału wizualnego.

Krytyka filmowa ocenia ten film zdecydowanie lepiej.

Pogodzenie wizji artystycznej tak charakterystycznych twórców jak Lem i Tarkowski było w zasadzie niemożliwe. To, rzecz jasna, nie świadczy źle o żadnym z nich: artysta ma swoją wizję i ma prawo do jej realizacji. Autor ekranizacji jest w pewnym sensie w trudniejszej sytuacji, bo w wypadku pisarza ta wizja tak naprawdę istnieje wyłącznie w jego głowie. Taka adaptacja *Solaris*, która uwzględniałaby wszystkie wymogi Lema, byłaby prawdopodobnie niemożliwa do zrealizowania. Tarkowski miał święte prawo do swojej wizji. Zarzut Lema, jakoby miała być ona pozbawioną pierwiastka wizualnego i pozbawioną tego piękna, które wymyślił w powieści, jest niesprawiedliwy. Po prostu była to inna wizja, gdyż póki co technologia, umożliwiająca wzajemne przenikanie się umysłów, pozwalająca przenieść pomysły prosto z głowy pisarza do głowy reżysera istnieje tylko... w książkach Lema. Powiedziałbym wręcz, że *Solaris* jest jednym z najbardziej wizualnych filmów Tarkowskiego. Po tym filmie, oraz po późniejszym *Stalkerze*, jego filmy stają się delikatniejsze, bardziej kameralne.

Zgodzi się pan jednak, że w kwestii wymowy filmu Tarkowski oszedł dość daleko od pierwowzoru...

To już prędzej, ale to rzecz całkowicie normalna przy adaptacji. Inni bardzo wybitni pisarze science fiction, bracia Arkadij i Boris Strugaccy, którzy napisali *Piknik na skraju drogi*, na podstawie którego powstał *Stalker* 7 lat później, także spotkali się z silną, może nawet dalej idącą niż w przypadku *Solaris*, ingerencją w wymowę dzieła. Oni jednak, jak się zdaje, lepiej zrozumieli, że następuje tutaj zetknięcie dwóch artystycznych osobowości, które w jakimś stopniu wzajemnie się uzupełniają.

Przejdźmy zatem do kolejnej adaptacji *Solaris*, zrealizowanej przez Amerykanów w 2002 roku. Temu filmowi z kolei zarzucano nadmierną koncentrację na wątku miłosnym i zlekceważenie filozoficznej wymowy powieści.

Gdy w roku 2001, bezpośrednio po otrzymaniu Oscara za reżyserię, reżyser Soderbergh, który dostał Oscara za *Traffic*, zabiera się za realizację filmu, w którym w głównej roli występuje wtedy rywalizujący z Bradem Pittem i z Johnnym Deppem o miano najseksowniejszego mężczyzny świata George Clooney oraz bardzo wtedy rozpoznawalna Natascha McElhone, to naprawdę nie powinno nikogo zdziwić, że film obrał tę właśnie ścieżkę. To w kinematografii zupełnie normalna rzecz. Powiedziałbym, że był to warunek, który musiał być spełniony, żeby producenci wyłożyli na ten film jakiegokolwiek pieniądze. Ale to nie wszystko. Wątek miłosny jest przecież w powieści bardzo ważny, nie został przecież wymyślony tylko na potrzeby tej adaptacji – a to przecież w Hollywood zdarza się często – i wcale nie jest w niej jakimś dodatkiem, tylko jedną z osi fabuły. Koncentracja na wątku miłosnym była też widoczna w filmie Tarkowskiego, to po prostu sprawdza się na ekranie.

Film Tarkowskiego był dla Soderbergha punktem odniesienia?

To za mało powiedziane. *Solaris* Soderbergha to *de facto* w większym stopniu remake Tarkowskiego niż adaptacja książki. Przeniósł ten film w XXI wiek z pełnym szacunkiem i zachowaniem tej możliwości, którą

dawały mu sukcesy jego dotychczasowych filmów. Lemowi mogło się to nie podobać, ale my wcale nie musimy absolutnie podzielać jego krytyki. Ja jej na przykład kompletnie nie podzielam.

Lem miał o nim lepsze zdanie niż o filmie Tarkowskiego...

To akurat kwestia interpretacji jego wypowiedzi. Lem na pewno spotkał się z większym szacunkiem ze strony Soderbergha. Był to człowiek, z którym się mu po prostu lepiej rozmawiało, pracowało. Ostatecznie i na ten film w końcu machnął ręką, zdystansował się od niego, ale w mniej ostentacyjny sposób niż wobec poprzedniej adaptacji powieści. Lem potem Soderbergha nie krytykował, ani nie atakował, a wypadku Tarkowskiego jednak takie ataki miały miejsce.

Omówiliśmy adaptacje *Solaris* i gdybyśmy mieli skupić się tylko na najważniejszych książkach Lema w tym miejscu musielibyśmy skończyć naszą rozmowę. Pozostałe utwory Lema przeniesione na ekran to, niczego im nie ujmując, jednak w jego dorobku rzeczy drugorzędne...

Zastanawiałem się zawsze, dlaczego tak jest. Dlaczego mamy *Kongres* na przykład? Dlaczego kiedyś przeniesiono *Milczącą gwiazdę*? Dlaczego *Pirx*? Ten akurat film moim zdaniem jest kiepskawy, chociaż Marek Piestrak umiał, jak zwykle, osiągnąć *kultowy* efekt. *Szpital przemienienia*, do którego wracam z uporem maniaka, może dlatego, że jest trochę jednak inny, to też jest film jednak bardzo uboczny. Myślę, że główne dzieła Lema nie nadają się do adaptacji innej niż zmieniającej ich wymowę, niż wydobywającej pewne wątki kosztem innych. W kontekście klasycznego, narracyjnego kina trudno byłoby wyobrazić sobie wierną adaptację którejs z wielkich powieści...

Wizji lokalnej?

Na przykład. Jest to wielka literatura, ale trzeba ją silnie zmienić, żeby zaistniała na ekranie. Wielu reżyserów i producentów, zwłaszcza mając świadomość, co Lem o tym akurat sądzi, po prostu nie chciało ryzykować, albo nie podejmowali się tego przez szacunek dla autora.

**We współczesnym kinie wciąż nie ma takiego potencjału?
Czekamy na nową *Diunę*, może doczekamy się i Lema?**

Sądzę, że do takiej adaptacji wcale nie jest nam w tym momencie bliżej. Kino aż tak się nie zmieniło, być może nawet jeszcze bardziej stało się narracyjne i poukładane. Tym z nas, fanów Lema, którym marzy się adaptacja *Edenu* albo innej powieści, raczej się nie doczekamy. Ale może coś z *Bajek robotów*?

Może dobrą metodę czerpania z dorobku Lema zaproponował wspomniany już *Kongres*, który jest raczej inspirowany niż oparty na *Kongresie futurologicznym*. Jak pan ocenia ten film?

Kongres jest przede wszystkim przykładem na to, że Polska jest w stanie stworzyć międzynarodową produkcję na solidnym poziomie. Produkcję, która w udany sposób miesza ze sobą normalny film aktorski z filmem rysunkowym. Pamiętajmy też, jaki film zrobił wcześniej reżyser *Kongresu* Ari Folman, to był słynny *Walc z Baszirem*, rysunkowy film o wojnie izraelsko-libańskiej z 1982 roku i jej konsekwencjach. *Kongres*, chociaż bardzo, bardzo odległy wizualnie, od tego, co mógłby nam zaprezentować Lem, właśnie jako wariacja na temat tej prozy, paradoksalnie jest bardzo lemowski. Akcentuje bowiem zwłaszcza to, co w jego prozie, szczególnie tej pisanej pod koniec życia, w okresie „filozoficzno-felietonowym”, było silnie obecne, czyli głębokie poczucie etycznego zagrożenia, jakie przynosi nam technika i cywilizacja. To się udało w *Kongresie* oddać. Może na ten film Lem popatrzyłby łagodniej?

Jaką książkę Lema najchętniej zobaczyłby pan na ekranie?

Pierwszą książką Lema, którą przeczytałem, był *Eden*. Bardzo chciałbym zobaczyć film będący wariacją na temat tej książki, ale ona jest być może jeszcze trudniejsza do adaptacji niż *Solaris* i nie jestem w tej sprawie optymistą.

Z Łukaszem Jasiną rozmawiał Mikołaj Rajkowski



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

